

Janusz Drzewucki  
*Dwanaście dni*

Iskry, Warszawa 2013  
s. 116, ISBN 978-83-244-0308-0



„Dwanaście dni” wzięłam do ręki z lekką obawą – jeśli nie zachwyci, to co? Ale – uff! Janusz Drzewucki nie zawiódł. Raczej – uwiódł. Jakąś nadzwyczajną prostotą i szczerością, w której nie ma miejsca na wstyd, krygowanie się, kamuflaż. Sprawił, że nawet sprawy lekko wstydlive przemawiają na jego korzyść. Dokonał tego słowami zwykłymi, codziennymi, które każdy ma w zasięgu ręki. Nie tyle pisze wiersze, co opowiada, mówi, nawet gada. A wszystko tak jego własne, naturalne i przystające do niego, że czytając, widziałam go jak wtedy, w redakcji przy placu Starynkiewicza.

Drzewucki uczestniczy w maratonach. Imponuje mi! Nie młodzieniec, a zdobył się na wytrwałe treningi. Paradoksalnie, biegnąc – wyhamowuje. Odrywa się od zgiełku. Dużo w jego strofach tego spokoju wynikającego z wewnętrznego wyciszenia. Ale sportowe osiągnięcia nie uwolniły go od lęków czy nadwrażliwości. Wciąż budzi się niekiedy o czwartej nad ranem, wierci w łóżku spocony; drżą mu ręce, którymi niezgrabnie sięga łyżeczką po cukier, rozsypując trochę białych kryształów na blat kawiarnianego stolika. Tak portretuje siebie.

Przypominam go sobie z przeszłości: konsternowało go to, co musiał robić – pilnować dziennikarzy działu kultury „Rzeczpospolitej”. Był sekretarzem działu, jednym z dwóch. Wiedziałam, że pisze wiersze, ale w redakcyjnym kieracie ważniejsze były *deadline’y* i *leady*. O poezji rozmawialiśmy bodaj raz – kiedy zmarł Zbigniew Herbert i Janusz wypełnił tekstami całą kolumnę, w przyspieszonym, nocnym trybie. Było za to sporo rozmów o fado (to też rodzaj poezji), bo on kochał Portugalię, często tam jeździł; doradzał nam, gdzie się udać, co zobaczyć.

„Rzeczpospolita” mu doskwierała. Zwolnił się, poszedł na szefa do wydawnictwa Czytelnik; odszedł, czy z nim się rozstano.

Aż tu ta książka. Cienka i wąska, gęsto zabudowana kolumnami słów. Czyta się je mimochodem, bez wysiłku, jakby prowadziło się rozmowę za znajomym. Niby błahą, przypadkową. Bez żadnych tez, wniosków, wiekopomnych prawd. Odkładam „Dwanaście dni” – a po chwili znów mnie ciągnie do wierszy Drzewuckiego.

Tomik dzieli się na trzy części (plus trzy utwory wprowadzające, osobne). Najpierw są „Wiersze podróżne”. Ni to reportaże, ni listy. Autor-narrator peregrynuje tak, jak to robiono kiedyś. Błąka się z plecakiem po krajach Europy południowo-wschodniej, kiedyś należących do soc-bloku; po miastach i miasteczkach mniej lub bardziej zabytkowych; z senną, narkotyczną atmosferą, po dziurach pozbawionych nachalstwa słynnych historycznych miast. Chłonie lokalne pejzaże, opisuje kolory, zjawiska meteorologiczne, cierpkość czy słodycz win. Szkicuje panoramy, budynki, mury. Wylicza, z kim i w jakich okolicznościach spotkał się, popijał, rozmawiał. Na ogół nie prowadził filozoficznych dysput. To może szkoda wspominać? Ależ nie, jest powód, żeby rekonstruować tę luźną gadaninę, żeby zamieniać ją na materię wierszy: w tych chaotycznych, wyrwykowych zdaniach odzwierciedla się tęsknota za porozumieniem człowieka

z człowiekiem. Zrozumienia tego drugiego. Czyż to nie najgłębszy sens wędrowania? Przez świat, przez życie?

Po „Wierszach podróżnych” następuje tytułowa część „Dwanaście dni”. Janusz wybrał je z ośmiu lat (2004-2012). Bez dbałości o chronologię; bez datowania. Niby-przypadkowy tuzin dni przeobraża się w dwanaście miesięcy. Czas niby wlecze się, a zarazem pędzi. Rok Poety, na który zapracowało... osiem lat.

Dni, które stały się tematem wierszy, nie wyróżniają się niczym wyjątkowym. Właściwie żaden nie zasługuje na pomnik. Bo to przecież sama banalność. Rozchełstanie. Przykrość. Świadomość starzenia się. Słowem, nic miłego. Żadnych uniesień, pozytywnych doświadczeń, wyjątkowych wydarzeń. Na przykład pierwszy dzień Nowego Roku – dla każdego jakoś ważny – Drzewucki zapamiętał dość beznadziejnie: *Zaczęłam dzień/ nie czekając na nic/ co dzisiaj, wtorek/ czy czwartek,/ wszystko jedno/ dzień jak niedziela/ albo jeszcze lepiej.*

Albo ten ostatni w roku, grudniowy, kiedy spotyka się z Aniołem Stróżem: *zorientowałam się/ że nie idzie już przede mną, ale/ za mną, od dłuższego/ już czasu, czuję jego oddech na karku,/ idzie za mną krok/ w krok, a nawet noga/ w nogę, jak śmierć.*

Mimo wszystko wiemy, dlaczego Janusz wybrał te, a nie inne momenty. Ze względu na aurę, koloryt, natężenie uczuć. Choćby wrzesień, pierwszy dzień szkoły; pytał ojca, co to był za dzień tygodnia, wtedy, kiedyś... Domyślamy się, że chodzi o 1939 rok. Potem pyta o to samo mamę, lecz tym razem ma na myśli swoją pierwszą klasę. A potem kupuje na targu pietruszkę; idzie na spacer.

Wśród *nijkich dni* znalazła się kwietniowa sobota, kiedy wydarzyła się katastrofa pod Smoleńskiem. Drzewucki jest tak powściągliwy, że właśnie poprzez to odczuwamy jego przerażenie, paraliż myśli, dezorientację. Nie potrafi znaleźć słów, nazwać swych uczuć. (... *aż naszła mnie/ potrzeba wyjścia z domu,/ do ludzi, do świata, zaraz,/ natychmiast, w tej chwili.*)

Jak wielu innych, biegnie pod Pałac Prezydencki. Nie próbuje dociekać, kto zawinił. Przejmuje go groza. Jak nas wszystkich.

To jedna z nielicznych „społecznych” refleksji. Bo na ogół Janusz jest outsiderem. Przez ciepłą część roku ucieka z Warszawy; zapada w prowincję. W sezonach chłodniejszych na powrót staje się dzieckiem miasta. Więcej, jest przyklejony do centrum stolicy – do ulicy Wiejskiej, do Czytelnika; do tutejszej jadłodajni i kawiarni, gdzie bywali ci, o których wspomnienia zamykają tom.

Ostania część – „Wiersze podzwonne” – dotyczy tych, którzy coś znaczyli w mini-światku Wiejskiej. Nie, nie byli na medialnym świeczniku. Ale stanowili intelektualne wyznaczniki. Dla wielu, dla Janusza...

Kiedy czytałam „podzwonne” – nie tyle pośmiertne wspomnienia, co przypomnienia – przesywał mnie smutek, choć bohaterów nie znałam. Ale Drzewucki sprawił, że zobaczyłam tych ludzi, polubiłam, podziwiałam. Za życia tworzyli galerię „oryginałów” odwiedzających Czytelnika na obiad lub kawę. Wyróżniali się trochę wizualnie lub zachowaniem. Mieli też co nieco w głowach; nawet o wiele więcej, niż co nieco. I zdziwienie: jak to, tak wiele zrobili i tak mało kto o nich wie? Czy tylko Janusz Drzewucki o nich pamięta? Jeśli nawet – mają szczęście. Nie przepadli w nicości.